

„Tak” dla protestów, swoboda dla „mowy nienawiści”

6 listopada 2020

Osiem lat temu [napisałem o rządzie Donalda Tuska](#), że to „najbardziej antywolnościowo nastawiona władza w Polsce od czasów Jaruzelskiego”. Patrząc z perspektywy czasu, myliłem się. To znaczy wtedy może i była to prawda, ale dziś ten tytuł przysługuje obecnie rządzącej ekipie polityków.

Za zrealizowanie antywolnościowych pomysłów tamtego rządu, które wtedy nie doszły do skutku, takich jak rejestr stron zakazanych (na razie hazardowych, za niedługo być może uznanych za naruszające interesy konsumentów przez Prezesa UOKiK) czy klauzula unikania opodatkowania.

Za kontynuowanie antywolnościowych pomysłów i działań tamtego rządu, takich jak dalsze ograniczanie wolności zgromadzeń czy zwiększanie obciążeń podatkowych (nieważne, że nazywanych np. „opłatami” czy dotyczących formalnie jedynie bogatych, jak podatek bankowy).

Za wprowadzanie w życie nowych antywolnościowych pomysłów, które tamtej władzy nawet nie przyszły do głowy, jak zakaz handlu w niedziele, ograniczenie obrotu ziemią rolną czy skrajne ograniczenie rynku aptek („apteka dla aptekarza”), powodujące ciągły spadek ich liczby.

Za kontynuację inwigilacji obywateli (utrzymywanie niezgodnych z prawem unijnym przepisów o obowiązku zatrzymywania danych przez operatorów telekomunikacyjnych, formalne zalegalizowanie oprogramowania szpiegowskiego do stosowania przez służby, obowiązek rejestracji kart pre-paid).

Za największy w historii „III RP” deficyt finansów publicznych, który będziemy musieli wszyscy spłacać, czy to w podatkach, czy ograniczeniu świadczeń od państwa, czy w

inflacji (w tej ostatniej postaci chyba już spłacamy, bo wyraźnie widzę, że wydaję średnio więcej pieniędzy niż jeszcze rok czy dwa temu). I nie ma co zasłaniać się tu kryzysem wywołanym epidemią, bo te dodatkowe 100 miliardów w niedawno zmienionym budżecie państwa to w [większości nie wydatki „antykryzysowe”](#).

Za powiększenie kryzysu oraz ograniczanie osobistej i gospodarczej wolności ludzi bezsensownymi „lockdownami”, które i tak nie powstrzymały rozwoju epidemii.

Za zmuszenie ludzi takich jak ja – bezdzietnych – do przymusowego finansowania w podatkach cudzych dzieci, ze świadomością, że spora część zabieranych w podatkach pieniędzy idzie na coś, z czego nie mają nawet możliwości skorzystać.

Dlatego popieram ludzi, którzy wyszli teraz na ulicę w protestach. Sam bym wyszedł, gdyby nie zwiększone w moim przypadku ryzyko ciężkiego przebiegu choroby w przypadku zakażenia SARS-Cov-2.

I owszem, popieram również ich sprzeciw wobec zaostrzenia przepisów antyaborcyjnych, bo uważam, że aborcja powinna być dozwolona bez żadnych ograniczeń w początkowym okresie, a w przypadku wad płodu uniemożliwiających samodzielne życie – i później.

Bo uważam, że prawo do życia przysługuje osobie, a nie biologicznemu organizmowi, który nie jest ciałem żadnej osoby, nie mając umysłu, który mógłby myśleć, uświadamiać sobie cierpienie czy wyrażać chęć życia. Bo nie ma wykształconego mózgu, który jest nośnikiem takiego umysłu.

Skoro uznaje się prawo do przerywania życia ciała po śmierci mózgowej, to powinno uznać się prawo do przerywania życia ciała, w którym mózg się jeszcze nie rozwinął, lub nie może się rozwinąć z powodu wady.

I przyznawanie temu ciału prawa do życia ogranicza wolność

rzeczywistej osoby – kobiety, która nosi to ciało w sobie.

A w przypadku, gdy płód ma już wprowadzić mózg, ale jest pewne, że umrze zaraz po urodzeniu (nie mówię tu o chorobie Downa) zakaz aborcji równa się nakazowi podtrzymania jego życia przez parę miesięcy i noszenia go wewnątrz swojego ciała oraz urodzenia go tylko po to, by wkrótce i tak umarł. Mamy wybór między śmiercią a śmiercią z dłuższym cierpieniem.

Więc jestem po stronie protestujących.

Ale nie mogę poprzeć [wszystkich postulatów](#) czołowej siły organizującej protesty – Strajku Kobiet, choć wiele protestów z pewnością jest spontanicznych i na pewno nie jest tak, że to postulaty wszystkich ich uczestników.

Owszem, niektóre z nich również popieram, przynajmniej częściowo. Uważam, że nie powinien być ograniczany dostęp do antykoncepcji, badań prenatalnych, nauka religii powinna odbywać się na koszt Kościoła, sprawców przemocy domowej i gwałcicieli powinno się ścigać i karać. Popieram prawa człowieka dla wszystkich i choć nie lubię państwa jako takiego, to wolę państwo prawa od państwa bezprawia, w którym władza nie jest ograniczana.

Nie mam nic przeciwko możliwości oferowania w szkołach edukacji seksualnej – podobnie, jak religii. Ale uważam, że i jedno, i drugie nie powinno być ani przymusowo narzucane przez państwo, ani obowiązkowe dla ucznia w szkołach publicznych, ani finansowane z kieszeni podatników.

Mogę ewentualnie warunkowo zaakceptować „bezpłatną” (finansowaną przez państwo) antykoncepcję czy zapłodnienie in vitro, skoro i tak już wszyscy przymusowo płacimy podatki i „składki” na usługi medyczne. Choć jestem za tym, by te ostatnie były finansowane dobrowolnie. I jednak wolałbym, by póki co pieniądze ze składek płaconych na NFZ w większym stopniu były przeznaczane na leczenie chorób, zwłaszcza tych zagrażających życiu. Dlaczego ja, płacąc te składki, i tak

muszę wydawać rocznie około tysiąca złotych na leki, a akurat środki antykoncepcyjne miałyby być dofinansowywane z tych składek w 100%?

Ale zdecydowanie nie mogę już zaakceptować postulatu delegalizacji „organizacji odwołujących się do faszyzmu i nazizmu”. Nie dlatego, że lubię faszystów czy nazistów, ale dlatego, że faszystą czy nazistą można nazwać każdego. Również feministki. Wicemarszałek Terlecki już przyrównał błyskawicę widoczną w logo Strajku Kobiet do symboli Hitlerjugend i SS. A ja pamiętam doskonale, że za czasów komunistycznych nazywanie przeciwników politycznych faszystami było ulubioną taktyką władzy. Dlatego władza nie powinna mieć takiej prawnej możliwości.

I z podobnego powodu zdecydowanie nie mogę zaakceptować postulatu „ścigania mowy nienawiści jako źródła przemocy”. Nawiasem mówiąc, nie wynika on z konwencji antyprzemocowej. Tam jest tylko zobowiązanie do ścigania i karania przemocy psychicznej w postaci zastraszania i nękania. Oraz molestowania seksualnego.

Bo choć nienawiść nie jest przyjemna dla nienawidzonego (choć bywa, że jest usprawiedliwiona), może być całkowicie irracjonalna, a świat całkowicie bez nienawiści byłby z pewnością lepszy, to prawo do wyrażania nienawiści – naturalnego ludzkiego uczucia – jest jednak elementem wolności słowa. Wolności wyrażania własnego zdania, poglądów i uczuć. I z tego prawa właśnie czynią teraz użytek protestujący, krzycząc „wypier****ć” i „***** ***”.

I jeśli na przykład za dziesięć lat działaczki Strajku Kobiet będą tworzyły rząd, to ludzie też powinni mieć prawo wyjść na ulice i krzyczeć „wypier****ć”.

„Mowa nienawiści” jest prawem człowieka. Zakaz „mowy nienawiści” to knebłowanie ust i cenzura. A skoro wolno nienawidzić PiS czy Kościoła, to wolno też nienawidzić PO,

Lewicy czy feministek. Jak również liberałów i libertarian. Czy mnie osobiście. Byle nie stosować przemocy.

Co nie znaczy, że ludzie nie mają prawa odpowiadać na „mowę nienawiści” tym samym. Jak ktoś mnie nazwie ch*jem, to musi liczyć się z podobną reakcją. Bo ja też mam prawo do wyrażania nienawiści.

A jeśli nienawiść prowadzi do przemocy, to zakaz „mowy nienawiści” nic tu nie da. Bo nienawiść nadal będzie istniała – niewypowiedziana. Zwalczać należy agresywną przemoc.

Autorstwo: Jacek Sierpiński

Źródło: Sierp.Libertarianizm.pl